

Anarcho-Biblioteka



Nie Ma Cywilizacji, Nie Ma Dżiczy. Jesteśmy Tylko Ty i Ja.

Dr. Bones

Dr. Bones

Nie Ma Cywilizacji, Nie Ma Dżiczy. Jesteśmy Tylko Ty i Ja.

15.06.2017

<https://godsandrads.org/2017/06/15/>

there-is-no-civilization-there-is-no-wild-there-is-only-you-and-me/

pl.anarchistlibraries.net

15.06.2017

Notatka od wydawcy: Jak wiedzą fani Dr. Bonesa na twitterze i facebooku, nasz Zaklinacz ostatnio wyszedł z siebie samego po zażyciu tego, co Gods & Radicals mogą tylko podejrzewać o bycie wysoce nielegalnymi substancjami. Szkic ten przesłany został nam razem z prawie półtoragodzinnym nagraniem dźwiękowym, kilkoma odręcznymi rysunkami, jak również serią zdjęć na których domyślać się możemy obecności Dr. Bonesa... Cóż, nie jesteśmy do końca pewni co się na nich dzieje, lecz mamy poważne wątpliwości co do tego, czy czaszki aligatorów pochodzą z etycznych źródeł. Gods & Radicals w żaden sposób nie popiera zakupu twardych halucynogenów z Dark Webu i cierpliwie odrzuca prośby Bonesa o “przesłanie mu 400 dolarów dla uporządkowania spraw. Jeśli rednecki chociaż spróbują tego stuffu, będą srać tęczami i komunizmem przez następne pokolenia.”

Poniższy tekst prezentujemy w takiej formie, w jakiej go otrzymaliśmy i z nadzieją, że czytelnicy będą w stanie odnaleźć w nim sens.

W momencie pisania tego tekstu jestem wciąż na totalnym haju, od kwasu kupionego z Dark Webu, przez większą część ostatnich 24 godzin. Mój dom pokryty jest rysunkami, wciąż płonącymi kadzidłami, wygląda też na to, że każde lustro zabazgrane jest słowami “JESTEŚ TAICHI” zapisanymi czymś, co jak zakładam jest krwią. Wszędzie rozsypane są teksty Stirnera, a ludzie na twitterze wypytują mnie o to w jaki sposób mogą dołączyć do Starożytnego i Leczniczego Zakonu Hieny.

Chuang-Tzu rzekł: “Pochodnia chaosu i zwątpienia - oto czym kieruje się Mędrzec.” Jeśli to prawda, to z pewnością transcendowałem to pierdolone koło.

Potrzebuję piwa żeby się wyluzować, podczas gdy desperacko próbuję wytłumaczyć mojej żonie co się działo.

“Co to do cholery było?” mówi wlewając trzy szoty espresso do mojej porannej kawy. “Nie poszedłeś spać do czwartej nad ranem, wciąż mówiąc o tworzeniu jakiejś... łoży, czy czegoś takiego. Praktycznie zdemolowałeś dom! I dlaczego ciągle mnie budziłeś tylko po to, żeby mi powiedzieć, że jesteś japońskim artystą?”

“Nie wiem! Słodki Jezu, nie wiem nawet co wzięłem. Dostałem to od jakiegoś starego Koreańca z którym pracuję. W jednej chwili pokazywał mi jakieś ruchy z tai-chi, stalowe pałki i różne takie, a w następnej wypytywał mnie o to, czy chcę trochę kwasu!”

“Ile kosztowało?” Śmieje się, kręcąc głową. “Jak ty w ogóle spotykasz takich ludzi?”

“Kosztowało?” Przechodzę do swojego drugiego piwa. “Nic. Po prostu mi to dał.”

“Po-prostu-ci-to-dał?”

“Dał. Mówił, że kupił tego w chuj z Dark Webu za bitcoiny. Rozdaje to różnym czarodziejom, których spotyka. Sigile, które widziałem... ja... mój Boże.” Chwyciłem

w tym momencie swoją żonę, moje oczy praktycznie zalały się krwią. *“Nawet nie potrafię opisać, ile to znaczy dla mojej praktyki magicznej. Mam teraz nowe glify na świece, nowe modlitwy do śpiewania. Poczekaj tylko na moje następne... oh, i... skoro już wspomniałem...”* Odpycha mnie, w połowie się śmiejąc, w połowie zdezorientowana.

“Musisz nadać jedną paczkę i przesłać tej pani z Michigan jej zamówienie na świecę.”

“Ah, dobrze, dobrze. Ta pani od złego oka na jej ślubie. Jakież prognozy?”

“Jedna. Powinieneś był załatwić to cztery godziny temu.” Kawa już zniknęła, a ja przechodzę do mojego trzeciego piwa, w końcu zaczynając wracać do jakiegoś stany przypominającego normalność.

“Cóż...” Kaszlę. *“Skoro rozpieprzyłem już cały dzień myślę, że powinienem pomyśleć nad swoimi grzechami. Chyba powinniśmy pójść do kościoła.”*

Pakuje samochód do pełna, butelkowana woda i rum. 55 mil na godzinę, niebieskie flagi i neo-konfederaci wciskający gaz do dechy, kierowcy gapiący się z okien jak rekiny; głodni, ignoranczy głupcy, z dumną obnoszący się ze swoim kazirodztwem.

Powinni zostać ukarani.

Opuszczam szybę w oknie i zwracam na siebie uwagę jednego z pobliskich kierowców.

“Pszypraszam, pszepana. Czy to naklejka “blue lives matter” na pana zderzaku?” Patrzy na mnie zdziwiony, jak ranne zwierzę, jego stary Chevrolet'cik podobny do półdzikiego pitbulla.

“Tia,” - odpowiada plując tytoniem - *“a co?”*

“Oh, świetnie.” Czuję jak ręka mojej żony desperacko próbuje złapać mnie za ramię, wciągając z powrotem do samochodu, ale nie dam się. *“Zastanawiałem się po prostu komu KAZAĆ SIĘ JEBAĆ!”* Guma piszczący, kiedy światło zmienia się na zielone, chmura spalin wylewa się spod opon, zalewając przednią szybę. Podkręcam radio, oto sposób, jeśli tylko usłyszę w nim Marca Antoniego, uznam to za znak od bogów nakazujących mi zajechać drogę temu żalosnemu cwelowi i nafaszerować go ołowiem.

Czy powiedziałem to na głos? Czy tylko napisałem? Zważając na przerażenie w moich oczach i prędkość z jaką jadę uznam, że dzieje się to naprawdę.

Rezerwat Przyrody Turkey Creek. Wychodzę z jeepa, dwa zjazdy od esencji jazdy, skrytej w pudle pędu. Wychodzę na przystań kajakową. Deszcz, kto tu wcisnął tyle deszczu?

Oddech. Oddycham. Spokojnie i powoli. Mamrocę słowa mocy wyzwolone z jakiegoś Thelemickiego czatu wiele księżyców temu.

“Mam ciało, ale nie jestem swoim ciałem.

Mam umysł, ale nie jestem swoim umysłem.

Mam pragnienia, ale nie jestem swoimi pragnieniami.

Mam myśli, ale nie jestem swoimi myślami.”

Wszystko wokół mnie ostyga, uciszając burzę szalejącą we wszystkich moich nerwach. Prześlizgując się znów w medytacyjny stan skupiam się na mocy, która otacza i przenika wszystkie rzeczy. Powoli wszystko zaczyna się rozpluwać: samochody, zmartwienia, państwa, granice – wszystko znika. Jakiś większy odłamek Boga rozświetla się w mojej piersi i zaczynam wic się w mądrości i czystym *gnosis*. W tym zakątku, podczas gdy niebiosa obdarowują pokrzywdzoną suszą ziemię życiodajną wodą, wszystko naraz stało się święte; sama rzeka, powolna i wieczna, staje się symbolem mocy wciąż kryjącej się w tle, większą ikoną wartą uwielbienia, niemożliwą do stworzenia ludzkimi rękami. Niegdyś mógłby tu zostać zbudowany chram, ktoś związany z Duchem przyciągnięty tu, by to miejsce zamieszkać i bronić go. Miejsce takie jak to mogłoby leczyć chorych, zapoczątkować kult, a po kilkuset latach być przedmiotem wielu przesiąkniętych romantyzmem badań antropologicznych.

I tak oto trwało ono, w rezerwacie przyrody, otoczone domkami z prefabrykatów i wątpliwej renomy salonami paznokci.

Olbrzymia część Florydy tak właśnie wygląda. Wzdłuż wydm i wybrzeży napotyka się prosperujące firmy pokroju Harrisa, Northrup-Grummana i innych trzepiących gruby hajs na zabijaniu ludzi w imię Imperium. Mają fajne telewizory, nowe samochody i ubrania, których nie miała na sobie wcześniej żadna inna ludzka istota. Po przejściu przez groblę, za kolejkami rybaków i poławiaczy krewetek, za klubami jachtowymi, dociera się do drogi stanowej 192. Podążaj nią na zachód, a przejedziesz przez dwa miasteczka zanim zderzysz się z rozległą i pustą nicością. Będą tam akry pełne bydła i jego łowców, dzikich typów w słomkowych kapeluszach, którzy przemierzają te bezdroża od pokoleń. Potrafią czytać z chmur i podzielić się z tobą imieniem każdego drzewa, które napotkają, jednocześnie udostępniając memy o Jezusie na facebooku. Podążaj dalej, a wrócisz na zasiedlone terytoria i do wszystkiego tego, co się z nimi wiąże: do turystyki; tłumów ludzi; kapitalizmu; małych, białych ośmiornic z Nebraski, ciągnących za sobą swoje dzieci, zastanawiających się kiedy wreszcie przestanie być gorąco; wszystko to 30 minut jazdy od ludzi, którzy nadal pamiętają kim był Bone Mizell.

“Obecnie ci, którzy poszukują magii czy zjednoczenia z Buddą, odcinają się od społeczeństwa,” - głosi taoistyczna Antologia Doskonalenia i Świadomości, - “i uciekają od świata, podążając za swą misją... Nie rozumieją, że Droga czarownika i Buddy nie znajduje się poza ciałem i umysłem.” Jak prędko uciekamy od granic lasów i fantazji przestrzeni, gdy jesteśmy zniewoleni na plantacjach! Żaden technologiczny stan nie przyniesie nam szczęścia. Żadna rewolucja nigdy nas realnie nie wyzwoli, ponieważ te wszystkie stany *istnieją wewnątrz nas samych*. Tak długo jak będziemy polegać na platonicznych regułach i idealnych iluzjach, będziemy ganiać za urojonymi cieniami, kategoriowymi łódkami przeciągniętymi przez nas 40 mil w głąb lądu.

Dlaczego nie odrzucamy takie rodzaju myślenia, nie odrzucamy bycia dzielonymi na dzikich i cywilizowanych, dlaczego po prostu nie przyznamy racji naszej Unikatowości? Dlaczego nie zaczniesz domagać się swojej autonomii w taki sposób, który służy tobie najbardziej, czemu nie szukasz miejsc, w których twoi panowie trzymają cię w najmocniejszym uścisku, i nie postawisz im się, by skruszyć swoje łańcuchy? Zamiast debatowania nad tym jakie symboliczne koncepty najlepiej opisują nasze indywidualne inklinacje moglibyśmy tworzyć radykalne centra zdrowia z hydroponicznymi ogrodami i budować broń automatyczną przy pomocy drukarek 3D. Rozbij i zakłóć wszystko to, co trzyma cię w miejscu i zbuduj łódź ratunkową w świecie, który w zatrważającym tempie zalewa się gównem. Nieważny czy technologia upadnie i miliony umrą z głodu, nieważne czy przemysłowe opary zakryją niebo i wypełnią twoje ciało nowotworami, z pewnością wiadomo, że KURWA ZDECHNIESZ I NIKT CIĘ NIE OCALI.

Ktoś musi stanąć na drodze tego szaleństwa, tego horroru; odważne i szlachetne dusze chętne wyjechać na pustkowie i przejąć co tylko zechcą lub co będziemy potrzebować. Czemu ty nie miałbyś być jedną z nich?

Dziki i nieposkromione, poskromione i cywilizowane, już nie kwestia lat i poglądów, ale cali i mil; duchowe demarkacje, które wydają się widzieć tylko ludzie, spierający się o nie bez końca.

Ważny dla przykład cywilizacyjno-antycywilizacyjną debatę szalejącą w środowisku anarchistycznym.

Czy jest cywilizacja? To myśl, która powraca do mnie ciągle, kiedy próbuję medytować w lasach Florydy. Czy staję się dziki, kiedy praktykuję taoistyczną medytację z epoki dynastii Ming? Nawet jeśli czytam o niej w internecie? Odrzucam wszystkie narzucane metki i atrybuty, siedząc w deszczu i medytując. Kogo w ogóle obchodzi skąd się tego nauczyłem?

Cywilizacja jest religijnym mitem społeczeństwa, ideą tego, że idee błogosławione są specjalnym przeznaczeniem i własną ewolucyjną ścieżką. Używamy tego do wyznaczania, gdzie jesteśmy teraz, porównywania z tym, gdzie byliśmy wcześniej, a w zależności od tego kogo się spyta znaczyć może to bardzo wiele różnych rzeczy.

Co oznacza, że ostatecznie nie znaczy to *nic*.

Kiedy widzę członka Klubu Motocyklowego Outlaws, widzę kogoś wykraczającego daleko poza to, co moglibyśmy nazwać cywilizacją: aktywnie wypowiada on wojnę pogardzanemu przez siebie społeczeństwu, patrzy jak na rodzinę tylko na członków swego plemienia, żyje nomadycznym życiem, plądrując co tylko jest w stanie. Nie buduje on niczego, bierze dla siebie wszystko, jest on żyjącym barbarzyńcą, echem esencji mocy znanej bardzo dobrze starożytnemu Mongołowi. A jednak ujeżdża od odpicowanego Harley’ a, pomaga szmuglować metamfetaminę ze stanu do stanu, utrzymuje kontakt ze swoimi licznymi dziewczynami i dostawcami przez zaszyfrowane komunikatory.

Klienci dla których wróżę z kart są tym samym typem ludzi, który zawsze był w potrzebie, historie przynoszone przez nich są codziennie takie same, jak populacja komarów w Everglades City: bóle serca i zdrowie, dzwony brzmiące na ślubach i pogrzebowe lamenty, szalone ryzyko i obłądne sny zmuszające ludzi do ich podejmowania.

Telefon w naszej kieszeni ma dostęp do informacji z całego świata i jest w stanie połączyć kogokolwiek z kimkolwiek, niezależnie od położenia na globie. Używamy go do prowadzenia sporów z nieznanymi i masturbowania się do dwuwymiarowych rysunków. Wysłaliśmy robota na Marsa i wszyscy wybuchli śmiechem, kiedy ten narysował na powierzchni czerwonej planety fiuta.

Jesteśmy nadal tymi samymi ludźmi, którymi byliśmy przed tysiącami lat.

W stanie głębokiej medytacji objawia mi się obraz. Człowiek atakującego i mordującego dzieci na Bliskim Wschodzie przy pomocy drona nie różni się niczym od tego, który przemierzał kontynent gwałcąc i pładując w imię Czyngischana. Próbuje ponownie się wyspokoić, ale ten obraz mnie nie opuszcza. Głosy zjaw pełzających po mojej szyi mówią mi, że ci ludzie nie różnią się niczym, obaj w końcu *wierzą w coś większego od nich samych*. Nie ważne czy ich cel jest słuszny, czy Huitzilopochtli pobłogosławi ich lud, czy przeznaczeniem ich ojczyzny faktycznie jest władza nad światem, te ludzkie stworzenia są tylko narzędziami fikcyjnego "My." To właśnie to wielkie "My," ta kreatura domagająca się wnętrzości i posłuszeństwa, która pcha ludzkość ku tragicznemu końcowi, dokładnie dlatego, że jej cele są zawsze ważniejsze od naszych własnych.

Wieczna terażniejszość jest taka sama, jaka była zawsze: ludzie wykonujący rozkazy, o których wiedzą, że zrujną zarówno ich samych, jak i świat w którym żyją; złani potem hazardziści obstawiający, że granie według wyznaczonych zasad kupi im lepsze życie, nawet jeśli uczyni ich niewolnikami.

"Kończysz już?" Światło wydaje się przebijać przez wir idei. Otwieram oczy i odnajduję się z powrotem w rezerwacie przyrody, moje ciało pulsuje energią Qi.

"Już prawie, kochanie. Prawie. Daj mi jeszcze kilka minut."

Możesz nazwać obecny stan rzeczy jak chcesz, ale udawanie, że jest on rezultatem jakiejś tytanicznej bitwy między bryłami platońskimi to zabawa głupców.

Pamiętam, że jadąc autostradą US1 natknąłem się kiedyś na grupę starych ludzi siedzących pod palmą i siorbiących drinki na swojej działce, nie dbających o nic, jeden z nich tak rozluźniony, że jego słomkowy kapelusz opadł mu wprost na twarz, gdy rozkosznie przysnął na słońcu. "Oto czysta satysfakcja," - rzekłem do swojej żony, wręcz przebijając szybę palcem wskazującym - "perfekcyjnie dostrojeni do swojego otoczenia. Mam zamiar zrobić dokładnie to samo, kiedy tylko dojedziemy do domu." Z drinkiem Blue Hawaiian i przy akompaniamencie Bossa Nova grzmącym z głośnika, wpełzłem pod palmę i starałem się osiągnąć całkowity relaks. Zamiast tego okazało się, że słońce świeci pod złym kątem, że drzewo nie jest wystarczająco rozłożyste i że moją dupę praktycznie zjadły żywcem mrówki. Kiedy pędziłem z powrotem do domu olśniło mnie, że pożądam obrazu w mojej własnej głowie, jakiejś wyidealizowanej

formy relaksu, jakiegoś konceptu, skopiowałem przyswojony materiał i straciłem w procesie jakkolwiek jego treść.

Robimy dokładnie to samo wybierając rzeczy prymitywne ze względu na ich "naturalność", czy nowe technologie z powodu ich "nowości." Oba te określenia są skrajnie bezużyteczne przy opisywaniu naszych rzeczywistych doświadczeń.

Natura, cywilizacja, te rzeczy nie są prawdziwe. Reprezentują prawdziwe rzeczy, lecz nasze reprezentacji są tylko i wyłącznie takie: nasze. To abstrakcyjne koncepty, symbole symboli, których używaliśmy niegdyś jako użytecznych kategorii, teraz obdarzone ich własnym życiem. Natura to słowo używane przez nas do dzielenia siebie i świata nas otaczającego, zamiennik jakiegoś gigantycznego "Obcego" od którego pochodzimy, lecz którego nie możemy sobie przypomnieć; Cywilizacja może oznaczać uprawę organicznych bananów w alpach czy auta napędzane wodą, lecz stała się zamiast tego stadami istot ludzkich stłoczonymi w miastach i poddanych ciągłemu nadzorowi.

Jak inne mogłoby być życie gdybyśmy tylko przestali uganiać się za ideałami i wyznaczyli sobie samym nasze własne misje.

Niezależnie od miejsca w którym umieścimy się na jakimś zmyślnym spektrum technologicznym, Społeczeństwo zdecydowało, że potrzebujemy panów do zarządzania swoim życiami; kiedy Państwo chce centralizacji władzy, a Kapitał pomnażać się, technologia służyć będzie ludzkiemu zniewoleniu, eksploatacji taniej siły roboczej, będzie świadomie przeciwdziałać innemu jej użyciu.

Czemu zamieniać jeden mit na drugi, bez znaczenia czy mówimy o naturze, postępie, sprawiedliwości czy ludzkości, rewolucji czy nihilistycznej żądzy ciśnięcia globu wprost do jeziora buchających płomieni?

Nie mam religii, nie planuję nawet jej mieć. Robię rzeczy. Wyjeżdżam swoim jeepem na pustkowie, dwie mile od jakiegokolwiek innego dwunoga, dziękuję i zmamiam modlitwy zanim rozpocznę wielusetletnie praktyki *Zuowang*, w oparciu o metody wyuczone z internetu. Noszę przy sobie w tych miejscach broń, cudowne dzieło stali i śmierci, by chronić się przed dzikami i po prostu dlatego, że lubię sploty. Wielka Esencja, której poszukuję, kryjąca się za niemal każdą duchową kosmologią z którą się zetknąłem, wydaje się nigdy tym nie przejmować. Ostatniej nocy zwróciłem swe modły ku księżycowi w pełni i Bratu Nietoperzowi, kierując ku nim święte słowa, których nauczony zostałem przez duchy tak stare jak jezioro Okeechobee. Moja kapliczka zbudowana była z betonowych bloczków, stała 10 stóp od głównej drogi. Moc nadal przychodzi, bo wciąż tam jest, zawsze tam była, zawsze będzie.